

## **„Wyklęci” i ryngraf Żubryda.**

W odkrywaniu prawdy o największym na Podkarpaciu oddziale partyzanckim II konspiracji, noszącym oficjalną nazwę Samodzielny Batalion Operacyjny Narodowych Sił Zbrojnych kryptonim „Zuch” mjr Antoniego Żubryda, dwie kwestie zaskoczyły mnie najbardziej.

Pierwsza, to bardzo młody wiek większości jego żołnierzy. Wielu z nich nie ukończyło jeszcze 20. roku życia lub ten wiek dopiero co przekroczyło. Niewiele starszym od nich był dowódca, Antoni Żubryd ps. „Zuch”, który w chwili organizowania oddziału miał 27 lat.

Druga, to czas jaki musiał upłynąć, aby prawda o nich ujrzała światło dzienne. Przez ponad pół wieku władza ludowa czyniła wszelkie starania, aby żołnierzy podziemia antykomunistycznego wymazać całkowicie z ludzkiej pamięci. Brak było dostępu do dokumentów z ich przesłuchań i procesowych. O ile pojawiali się w oficjalnych publikacjach byli przedstawiani w najgorszym świetle, jako pospolici przestępcy (m. in. w filmie z 1961 roku Ewy i Czesława Petelskich „Ogniomistrz Kaleń”, opartym na powieści Jana Gerharda „Łuny w Bieszczadach”). Takich, którym udało się przetrwać pasmo cierpień fizycznych i psychicznych w katowniach Informacji Wojskowej i Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego, a później wieloletnią gehennę więzienną Służba Bezpieczeństwa inwigilowała praktycznie do końca życia. O nich w zastraszonej społeczności prawie nic się nie mówiło. Ten stan nie ulegał zasadniczej zmianie w kolejnych latach „po okrągłym stole”, w których następowało powolne przepoczwarczenie się systemu narzuconego przez Sowietów w III RP. Tylko nielicznym udało się doczekać czasów, gdy mogli w miarę swobodnie opowiadać o swojej przeszłości.



Antoni Żubryd, ur. w Sanoku 4.09.1918 r., zm. w Malinówce 24.10.1946 r. (ze zbioru Danuty Antoniów)

Tych młodych Polaków, w zdecydowanej większości mieszkańców galicyjskich wsi i miasteczek, w dorosłość już wcześniej wpełchnęła ta najstraszniejsza z wojen. Wyzwoliła ona zło, którego zaczątkiem było sowiecko-niemieckie porozumienie z sierpnia 1939 r. Zniweczyło ono możliwości obronne państwa polskiego oraz doprowadziło Rzeczpospolitą do IV rozbioru.

Najmłodszy z nich dowiadywali się bez ogródek od wrześniejących weteranów o kulisach klęski polskiej armii. Pomimo ich męstwa, w samotnej batalii z siłami Wehrmachtu i Armii Czerwonej - największych potęg militarnych ówczesnego świata, wspieranych przez wojska słowackie, niemiecką "piątą kolumnę", siły nacjonalistów ukraińskich oraz żydowskie bojówki komunistyczne dokonujące rebelii w kresowych miastach i miasteczkach była ona bez szans, ostatnie walki kampanii wrześniejącej wygasły na początku szóstego tygodnia wojny.

Tak dokonane unicestwienie państwa polskiego kumulowało w nich przeświadczenie, że wrogię moce są zdolne do każdego aliansów, niezależnie od wyznawanych przez siebie ideologii.

Szybko dotarło do nich, że następnym celem był naród polski, a więc oni sami i ich rodziny. Dla sygnatariuszy sierpniowego paktu ten cel pozostawał niezmienny także wtedy, gdy rozpętali wojnę pomiędzy sobą. Polacy zostali wpełchnięci w tak tragiczną sytuację, że nawet stara maksyma „wrog mojego wroga jest moim przyjacielem” w tym przypadku nie mogła mieć zastosowania.

„Wyzwolenie” przez Armię Czerwoną spod okupanta niemieckiego odbierali jako jego zamianę. Wiedzieli już o Katyniu i o tym, co spotkało polskich oficerów wziętych do sowieckiej niewoli. Nadzieję na zmianę ich geopolityki w stosunku do Polaków, na krótko zrodzoną po pierwszych kontaktach z żołnierzami jednostek frontowych, szybko rozwiewał tajny kontrwywiad sowiecki „Smiersz”. Wkraczał on na zajęty już obszar i przystępował do „czyszczenia terenu”, przede wszystkim ze struktur konspiracyjnych polskiego państwa podziemnego. „Smiersz” miał ułatwione zadanie ponieważ część żołnierzy Armii Krajowej było zdekonspirowanych po Akcji „Burza”. Jednak to donosy rodzimych zdrajców i kolaborantów czyniły „Smiersz” tak przerażająco skuteczną. Aresztowań dokonywano najczęściej zniemacka, w okrażonym domu, przy ograniczonej liczbie świadków, w późnych godzinach nocnych lub nad ranem, kiedy poszukiwany był we śnie. Spośród aresztowanych wielu już nigdy nie wróciło do swoich domów i wszelki ślad po nich zaginął. Ci, co pozostawali na wolności czuli się stale zagrożeni i musieli ukrywać swoją przeszłość. Dlatego też, dla części młodych akowców akces do oddziału Żubryda był tożsamy z kontynuacją walki o byt ojczyzny i ich własny.

Realizowany przez Niemców i Sowietów program eksterminacji Polaków z kolei zainspirował ukraińskich nacjonalistów z OUN-UPA. Ludobójstwo Polaków, które zapoczątkowali na Wołyniu szybko objęło także tych mieszkających w Małopolsce Wschodniej. Dla nieszczęsnej kresowej ludności polskiej jedynym ratunkiem przed całkowitą zagładą była ucieczka stamtąd albo samoobrona. W tamtych warunkach dla wielu młodych mężczyzn, szczególnie tych z okolic Rymanowa i Sanoka oddział Żubryda stanowił realną siłę chroniącą ich i społeczności, z których się wywodzili przed takim zagrożeniem.

Żołnierze Żubryda wrogo traktowali Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego przekształcony w nielegalny rząd, który terrorem wymuszał na Polakach totalne podporządkowanie się interesom ościennego mocarstwa, niszczył prywatną gospodarkę, eliminował wpływy Kościoła z życia narodu, samodzielność społeczeństwa i wszelką inicjatywę jednostek. Uważali, że tą drogą ukradziono Polakom państwowość.

Po akcjach przeciwko Urzędowi Bezpieczeństwa Publicznego konstatawali, że wielu jego funkcjonariuszy dopiero od niedawna nosiło polskie nazwiska, innych brzmiały one równie obco jak metody jego działania. W ich ocenie, całe to tałatajstwo przywdziewając na siebie polski mundur wojskowy spługawiło go.

Wszyscy oni, oraz ci którzy im pomagali byli dla nich „ruską swołoczą” i „żydokomuną”.

Zainstalowana w Polsce przy wsparciu sowietów władza ludowa nie odpuszczała również ich rodzinom. Świadoma tego zagrożenia była Michalina Sawczyn, żona Edmunda Sawczyna dowódcy II kompanii batalionu NSZ Antoniego Żubryda. Po śmierci męża, który zginął w walce z oddziałami Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Targowiskach 20 września 1946 r. opuściła swój dom we Wróbliku Szlacheckim i wyjechała do małego Trębaczowa koło Kępna, w województwie poznańskim. Wraz z nią uciekli tam jej rodzice oraz rodziny ze strony męża. W tej powojennej zawierusze zatarli za sobą wszelkie ślady tak skutecznie, że nie tylko funkcjonariusze UB, ale nawet jeszcze do niedawna historycy mieli problem z nazwiskiem dowódcy II kompanii oddziału Żubryda, bowiem nazywany był on różnie, np. Sawczyszyn lub Sawczyna.

Michalina Sawczyn musiała jednak jeszcze jeden raz wrócić w te strony. Niezbędna była jej metryka zgonu męża, aby dopełnić formalności związanych ze swoim ponownym wyjściem za mąż.



Wyciąg metrykalny zgonu Edmunda Sawczyna (ze zbioru Danuty Antoniów)

Wystawił ją ówczesny proboszcz parafii rzymsko-katolickiej w Targowiskach, ks. Maciej Karol Suchodolski (ur. 1893 r.). W czasie okupacji niemieckiej był on aktywnym uczestnikiem działalności konspiracyjnej placówki Armii Krajowej Miejsce Piastowe kryptonim „Pelargonja”, a plebania w Targowiskach funkcjonowała również jako jej ważny punkt kontaktowy.

Prawdopodobnie z tego powodu był stale nękanym przez Urząd Bezpieczeństwa.

Po jednym z przesłuchań w gmachu Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Krośnie, przy ul. Portiusa, w dniu następnym, tj. 29.01.1949 r. znaleziono go martwego w plebani. Śmierć księdza Suchodolskiego nastąpiła w niewyjaśnionych do dzisiaj okolicznościach. Można tylko stawiać przypuszczenie, że w trakcie przesłuchań był pytany również o żonę „Mundka”, którą Urząd Bezpieczeństwa ciągle interesował się.

Zmiana nazwiska po ponownym wyjściu za mąż, kolejna zmiana adresu zamieszkania po wyjeździe w gronie nowej rodziny z Trębaczowa na Śląsk (do Zabrze), oraz usunięcie w niepamięć fragmentu życiorysu związanego z pierwszym mężem skutecznie zabezpieczyło egzystencję jej dzieci z tego małżeństwa (Ryszard ur. w Stryju w 1943 r. i Danuta ur. w Trześniowie w 1944 r.). Nie dotknęły ich mściwość ludzka i prześladowania władzy ludowej. Dzieciom przekazała jedynie to, że ich biologiczny ojciec zginął na wojnie. Niczego więcej nie dowiedziały się nawet wtedy, kiedy podrosły i kilkakrotnie była z nimi na Podkarpaciu.

Michalina dopiero pod koniec życia (zmarła w 2014 r.) wyjawiała córce Danucie (po mężu Antoniowi), że jej ojciec Edmund Sawczyn nie zginął na froncie, ale na Podkarpaciu jako partyzant oddziału Antoniego Żubryda. Przekazała jej również zdjęcia, listy i dokumenty, które po nim przechowywała.

W poszukiwaniu prawdy o ojcu pani Danuta przyjechała na Podkarpacie i trafiła do Prywatnego Muzeum Podkarpackich Pól Bitewnych w Krośnie. Dzięki temu, w czasie wielogodzinnego spotkania mogłem dowiedzieć się o wielu dotychczas nieznanych faktach z życia jej ojca.

Potwierdzały je zachowane materiały, które pani Danuta przywiozła ze sobą. Ten zbiór nie mógł być dziełem przypadku, podobnie jak jego przechowywanie w zupełnej tajemnicy przez tyle lat. To, że doczekał do naszych czasów było świadomym wyborem Michaliny Sawczyn. Przez kilkadziesiąt lat z przyczyn sobie wiadomych uznawała, że nie nadeszła jeszcze pora na ujawnienie tych materiałów. Zdjęcia stanowiły zasadniczą część zbioru, wśród nich przeważały rodzinne, tylko nieliczne dotyczyły przeszłości wojskowej i partyzanckiej ojca.

Korzenie jej rodziny wywodziły się z Trześniowa, powiat brzozowski, stąd pochodziła jej prababcia. Pradziadek był pracownikiem kolei, znalazł pracę w swoim fachu w Stryju (nieдалeko Drohobycza, w byłym województwie lwowskim, obecnie Ukraina) i tam wyjechali i osiedlili się.

W Stryju urodziła się jej babcia Rozalia. Tam też wyszła ona za mąż za Stefana Sticha, który był kolejarem. Oni także zamieszkali w Stryju i tam też przyszła na świat jej mama, Michalina.

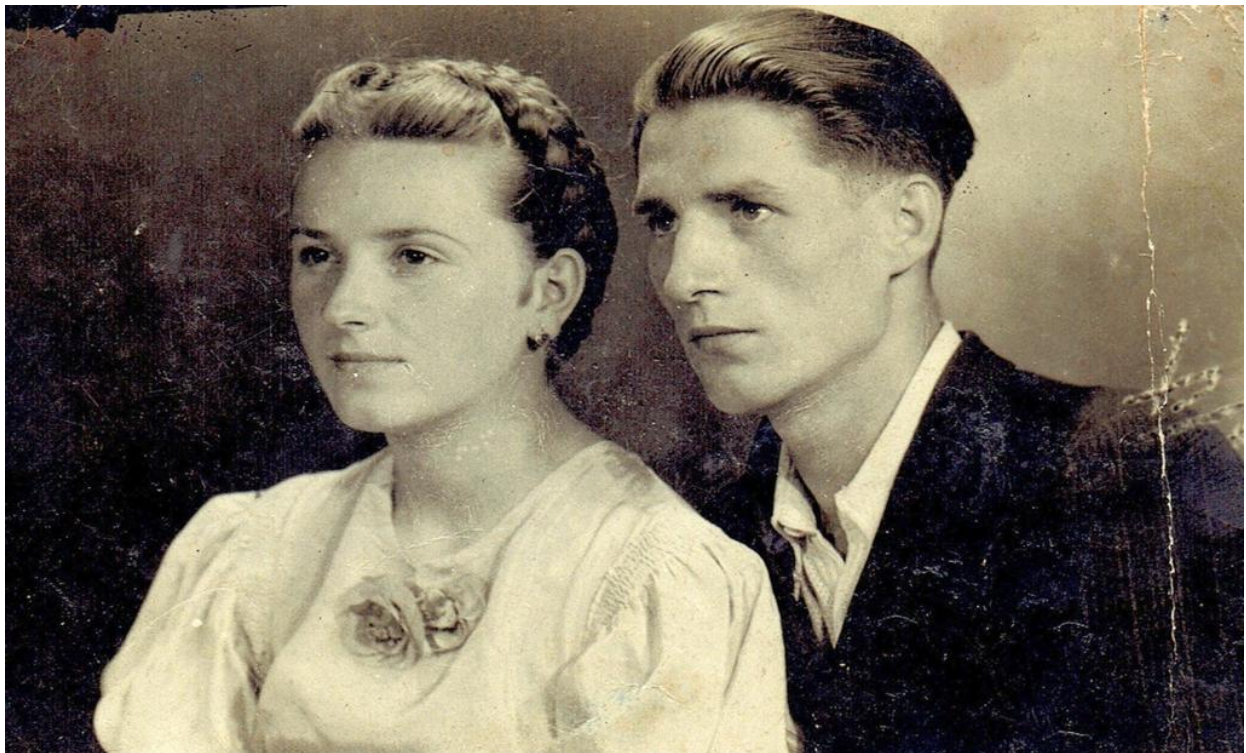
Również w Stryju Michalina poznała Edmunda Sawczyna, z którym wzięła 15.08.1942 r. ślub kościelny.

Jej mąż był Polakiem wyznania rzymsko-katolickiego, pochodził z Trochanowa, należącego w okresie II RP do zbiorowej gminy wiejskiej Synowództwo Wyżne w powiecie stryjskim, w województwie stanisławowskim.



Edmund Sawczyn, ur. w Stryju 10.06.1922 r., zm. w Targowiskach 20.09.1946 r. (zdjęcie z okresu okupacji niemieckiej ze zbioru Danuty Antoniów)

Pracował w wojskowych warsztatach samochodowych w Stryju (były warsztaty 1. pułku artylerii motorowej Wojska Polskiego) jako wykwalifikowany tokarz metalowy. Posiadał kilkuletni staż w swoim zawodzie, w który wliczała mu się czteroletnia płatna nauka połączona z praktyką, którą odbywał w nich od 1.09.1936 r. Naukę Edmunda finansował jego ojciec Tymoteusz, który był gajowym w Trochanowie.



Michalina Sawczyn z domu Stich i Edmund Sawczyn (ze zbioru Danuty Antoniów)

W następnym roku po ślubie urodził im się syn Ryszard. Sawczynowie musieli jednak szybko uciekać ze Stryja, gdyż ostrzeżono ich, że Ukraińcy z OUN-UPA chcą ich wymordować.

Dlatego, po zajęciu przez Armię Czerwoną ziemi brzozowskiej wspólnie z dziadkami przyjechali do Trześniowa, gdzie ich rodzina miała swoje korzenie. Niedługo po dotarciu tam, 19.11.1944 r. urodziła się pani Danuta. W nowym miejscu nie cieszyli się długo ze wspólnego pobytu ponieważ Edmund Sawczyn został zmobilizowany i wcielony do Ludowego Wojska Polskiego.



Dokumenty Edmunda Sawczyna z okresu służby w Ludowym Wojsku Polskim (ze zbioru Danuty Antoniów)

W Rejonowej Komendzie Uzupelnień w Rzeszowie 31.12.1944 r. otrzymał on przydział do kompani samochodowej na stanowisko szofera, w stopniu strzelca. Urząd Wojewódzki Rzeszowski wydał mu Pozwolenie nr 11, uprawniające go do kierowania samochodami i motocyklami. Z dokumentów wynikało, że dwa tygodnie później, tj. 15.01.1945 r. w M. P. Poczta Polowa 836815 przejął on w użytkowanie samochód marki Ford Nr R035.51 wyprodukowany w 1944 r.

Źródłem ciekawych informacji z tego okresu była korespondencja pomiędzy małżonkami, jaką zachowała Michalina.

Są to listy wysyłane przez Edmunda do niej z frontu, oraz jej odpowiedzi. Małżonkowie byli świadomi cenzury poczty wojskowej toteż stosowali swoisty kod, zauważalny przy ich lekturze.

Wynikało z nich, że listy do żony i odpowiedzi od niej docierały po miesiącu czasu, zaś korespondencja Edmunda z rodziną w Stryju dochodziła do adresatów dopiero po dwóch miesiącach.

Z listów do Michaliny można się było dowiedzieć, że Edmund przemieszczał się na trasie Kraków - Katowice oraz, że Święta Wielkanocne (w 1945 r. Wielkanoc była obchodzona 1 kwietnia) zastały go „w opuszczonej szwabskiej wiosce, a wokół wszystkie pęki były już pięknie rozkwitnięte”.

Pisał też, że 6.04.1945 r. przejeżdżał przez Odrę. W innym liście informował, że od domu dzieli go 1000 km, ale równocześnie pocieszał w nim żonę, że wojna niedługo się skończy i wtedy będzie mógł wrócić do domu.

Z listów od rodziny Edmund wiedział o przymusowym wysiedleniu przez sowietów z ojczystej ziemi jego rodziców, Ludwika i Tymoteusza. Był zorientowany, że spotkało to również rodzinę jego siostry Janiny (Kłodnicka, po mężu Władysławie), a także wiele innych polskich rodzin z okolic Stryja. Dowiadywał się od bliskich, o licznych perypetiach jakich oni przy tym doświadczyli (wycena pozostawionych majątków, aresztowania Polaków). O tym, że część z nich mogła zabrać ze sobą tylko drobny sprzęt gospodarstwa domowego, natomiast „uprzywilejowane”

zostały te rodziny, których „synowie byli przy wojsku”, ponieważ uzyskiwały one prawo do zabrania ze swojego inwentarza jednej krowy.

Rodziny te przywieziono transportem kolejowym do Krosna w „samą Wielkanoc” 1945 r.

Wiedział o tym, że część rodzin skierowano następnie z Krosna do Węglówki i tam osadzone je w opuszczonych gospodarstwach (po tzw. „zamieszkańcach”, których przesiedlono na początku wiosny 1945 r. na zachodnią Ukrainę). Dotarło do niego, że trafili tam także jego rodzice, oraz rodzina jego siostry, która była wtedy w zaawansowanej ciąży (już w Węglówce, w maju 1945 r. urodziła syna Jana).

Ostatni list Edmunda wysłany do Michaliny był datowany na 6 maja 1945 r.

Z korespondencji można było wywnioskować, że Edmund rozstał się z Ludowym Wojskiem Polskim prawdopodobnie tuż po zakończeniu wojny. Pozostawało jednak niewyjaśnionym, w jaki sposób to nastąpiło?

Okazywana przez niego wrogość do sowietów i komunistów za utraconą ziemię rodzinną być może dowodziła, że nastąpiło to z pominięciem formalności demobilizacyjnych.



Edmund Sawczyn z synem Ryszardem na tle swojego domu we Wróbliku Szlacheckim (ze zbioru Danuty Antoniw)

Po powrocie do domu Edmund nawiązał kontakt z organizatorami II konspiracji niepodległościowej tworzącej się w jego okolicy. Wkrótce objął dowództwo nad tzw. „grupą rymanowską”, którą następnie podporządkował Antoniemu Żubrydowi. Został dowódcą II kompanii batalionu NSZ w stopniu podporucznika, używał pseudonimów „Mundek” i „Puma”. W jej składzie przeważali młodzi ludzie z okolic Rymanowa. Pozostali to uchodźcy z kresów wschodnich, członkowie rozbitych grup Mariana Skiby i Mieczysława Bielca ps. „Błysk”, żołnierze Armii Krajowej byłych oddziałów partyzanckich OP-11 i ZN-24 oraz „terenówek” z powiatów krośnieńskiego i sanockiego.

II kompania stanowiła najliczniejszy pododdział batalionu Żubryda, przeprowadziła ponad 50 akcji zbrojnych.

Działalność grupy koncentrowała się w rejonie Rymanowa, obejmowała także południowe tereny powiatów sanockiego i krośnieńskiego (rejon Dukli i Korczyny). W obszarze jej działania znajdowała się m. in. linia kolejowa Krosno – Sanok. „Żubrydowcy” kilkakrotnie atakowali jej infrastrukturę oraz kursujące na tym odcinku pociągi.

W pakiecie materiałów pani Danuty jedno zdjęcie miało ścisły związek z taką akcją i zwracało szczególną uwagę. Widać było na nim martwego mężczyznę leżącego w kałuży krwi.

Na odwrocie zdjęcia wykonano ołówkiem adnotację „To ten co zginął w Rymanowie na stacji”, zdjęcie poniżej.



Marian Bieganowski, żołnierz II kompanii batalionu NSZ Antoniego Żubryda, poległ 15.12.1945 r. (ze zbioru Danuty Antoniów)

Było to pośmiertne zdjęcie Mariana Bieganowskiego, uczestnika nieudanej akcji na pluton Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, który został rozlokowany na obszarze kontrolowanym przez kompanię „Mundka”, na stacji kolejowej we Wróbliku Szlacheckim, zwanej Rymanów. To prawdopodobnie zaważyło, że 15 grudnia 1945 r. nastąpiła próba wyparcia go z stamtąd. Wtedy to około 30 osobowy oddział dowodzony przez Edmunda Sawczyna atakując bez powodzenia



ufortyfikowany budynek dworca kolejowego poniósł straty. Zginął żołnierz II kompani batalionu NSZ Marian Bieganowski, a dwóch innych jej uczestników zostało rannych.

W rewanżu za to niepowodzenie, dwa dni później oddział Żubryda przeprowadził wg mnie swoją najbardziej spektakularną akcją, jaką było opanowanie Korczyny, graniczącej z Krosnem.

O niej, wiele ciekawych informacji uzyskałem od pana Kazimierza Paulo, rocznik 1925, którego już wcześniej miałem przyjemność gościć w muzeum i przeprowadzić z nim wiele rozmów.



Kazimierz Paulo w Prywatnym Muzeum Podkarpackich Pól Bitewnych w Krośnie, z lewej autor tekstu, z prawej Dorota Kiełtyka (fot. archiwum muzeum)

Pan Kazimierz wspominał, że dowodził wtedy ośmioosobową załogą posterunku milicji w Węglówce, którego był organizatorem. Nastąpiło to niedługo po zakończeniu wojny, kiedy już wrócił do kraju z przymusowych robót w III Rzeszy.

Wioskę zamieszkiwała wówczas spora grupa Polaków przesiedlonych z okolic Stryja. Nie stanowili oni jednak jej większości. Znacznie więcej było tych przybyłych z całkiem nieodległych miejscowości, wśród których były rodziny, które utraciły domy i dobytek wskutek działań wojennych. Pozostało w niej także trochę rodzin mieszanych, których nie wysiedlono na Ukrainę. W tych ciężkich czasach jej mieszkańcy na ile tylko mogli wzajemnie się wspierali.

W Węglówce szczególnie ważna była kopalnia ropy naftowej, z której wydobywano ją w dużych ilościach i dostarczano konnymi beczkownikami do rafinerii w Jedliczu.

Nastroje mieszkańców jednak ciągle mąciła obawa ataku ze strony UPA. Do milicjantów, którzy byli w stałym pogotowiu bojowym, wciąż docierały informacje o upowskich patrolach krążących w przyległych lasach.

W owym czasie posterunek dysponował solidnym uzbrojeniem, które zostało zdobyte w dość przypadkowych okolicznościach. Otóż komendant dowiedział się od zaufanej osoby o broni, którą pozostawiła po sobie ukraińska policja. Znajdowała się ona w budynku na terenie tzw. „małej Węglówki”, w pobliżu Krasnej. Na miejscu milicjanci odkryli cały jej arsenał. Wśród przejętej broni były m. in. cztery niemieckie ręczne karabiny maszynowe, pistolety maszynowe, broń krótka

i duża ilość amunicji różnego typu. Potrzebny był wóz konny, aby to wszystko przewieźć na ich posterunek.

Rozmówca pamiętał, że współpracę z podziemiem niepodległościowym zapoczątkowało nawiązanie kontaktów z Józefem Zadzińskim ps. „Wołyński”, co nastąpiło niedługo po utworzeniu posterunku. Aktywnie uczestniczył w tym jego późniejszy teść, który przyjaźnił z osobą przesiedloną z kresów, a ta z kolei знаła aptekarza z Leżajska, współdziałającego z „Wołyńskiem”.

„Wołyński” kilkakrotnie był w Węglówce i na jego prośbę pan Kazimierz zorganizował już za wsią szpital polowy dla jego rannych partyzantów. Był to podziemny obiekt, przy budowie którego dużego wsparcia udzielili mu zaufani pracownicy kopalni ropy w Węglówce. Wszyscy oni w czasie okupacji niemieckiej należeli do akowskiej konspiracji. Opiekę nad rannymi sprawował lekarz kopalniany, który wrócił do kraju z Armii Andersa. Posiadał on wieloletnie doświadczenie w swoim fachu, które zdobył pracując m. in. w szpitalach wojennych. Przywiózł ze sobą nieosiągalne wtedy w zniszczonym kraju medykamenty, m. in. penicylinę. Pacjenci szpitalika byli przywożeni w umówione miejsce furmankami. Stamtąd przejmował ich pan Kazimierz i osobiście, w absolutnej tajemnicy dowoził do szpitalika. W większości mieli oni rany postrzałowe kończyn dolnych i duże trudności z poruszaniem się. Przewinięło się przez niego, co najmniej kilkunastu partyzantów. Dzięki antybiotykowi nikt z leczonych nie zmarł w czasie jego ponad półrocznego okresu funkcjonowania. W Leżajskim, gdzie operował oddział „Wołyńskiego”, a zwłaszcza po bitwie pod Kuryłówką, w której zadał on sowietom największe straty, jakie odnotowali oni w starciu z polskim podziemiem, zaangażowano ogromne siły, aby ten oddział całkowicie zniszczyć. Jedynym ratunkiem dla wielu rannych żołnierzy „Wołyńskiego” był więc szpitalik w Węglówce, którego dzieliła spora odległość od obszaru działania ich oddziału.

Pan Kazimierz wspominał też, w czasie swojego pobytu w Węglówce przekazał „Wołyńskiemu” wszystkie cztery niemieckie ręczne karabiny maszynowe odkryte po ukraińskiej policji, i że z Józefem Zadzińskim łączyła go szczerza i serdeczna przyjaźń.

Były komendant posterunku milicji w Węglówce rozpamiętywał, że równie przyjacielskie relacje łączyły go z Antonim Żubrydem. Również z nim kilkakrotnie spotykał się na terenie tej wioski. Niekiedy uczestniczył w nich dowódca jednej z kompanii Żubryda, którego zapamiętał jako młodego mężczyznę o bujnych ciemnych włosach.

W czasie jednej z rozmów Antoni Żubryd powiedział mu w zaufaniu, że ma pod swoją komendą blisko 500 uzbrojonych ludzi.

Pamiętał również Janinę, żonę Antoniego Żubryda, która wg niego była bardzo urodziwą kobietą.

Zdaniem rozmówcy, Żubryd pojawiał się wszędzie tam, gdzie „zaczynało się czerwienić” i ta plaga, wg Żubryda, zaczynała również zagrażać Korczyńce.

Pan Kazimierz wspominał, że w dniu, w którym Żubryd zajął Korczyńce, spotkał się z samym rana w korczyńskiej restauracji z milicjantem z tutejszego posterunku. Był to zaufany człowiek, który pełnił tu służbę również w czasie okupacji niemieckiej i współpracował z podziemiem. Od niego dowiedział się o mającej nastąpić akcji na Korczyńce. Szybko więc ją opuścił i wrócił na swój posterunek, który dzieliła od Korczyńki ok. 9 km odległość. Znajdował się on w budynku, zaraz przy drodze z Krasnej do Korczyńki, dlatego na jego polecenie załoga ewakuowała się z niego. Przenieśli się do sąsiedniego budynku, ale bardziej oddalonego od drogi. Niedługo później przemieścił się nią w kierunku Korczyńki kilkunastuosobowy oddział „Żubrydowców”. Ich przemarsz nastąpił jeszcze w przedpołudniowej porze. Równocześnie, od strony Woli Komborskiej

(o tym mój rozmówca dowiedział się już później) podążyła na Korczynę druga część batalionu Żubryda, bardziej liczna od grupy maszerującej przez Węglówkę.

Jeszcze przed ich dotarciem do Korczyny wysłane patrole pościnały słupy telefoniczne, pozbawiając Węglówkę i Korczynę łączności ze światem.

Dopiero w godzinach wieczornych wracali przez Węglówkę „Żubrydowcy”, którzy wcześniej tamtędy przechodzili. Grupa zatrzymała się na krótki postój przy opuszczonym posterunku milicji. Partyzanci weszli do środka budynku i zdemolowali pomieszczenia zajmowane przez milicjantów.

Pan Kazimierz wyjaśnił, że to ich zachowanie było zawczasu ukartowane i miało na celu odwrócenie podejrzeń od załogi, że ta może mieć z nimi coś wspólnego.

W akcji na Korczynę, wg mojego rozmówcy, mogło wziąć udział łącznie około 200 żołnierzy Żubryda.

Pan Kazimierz wspominał, że po akcji w Korczynie krośnieńskie UB początkowo spanikowało. Obawiano się, że kolejnym celem Żubryda może być Krosno. Ubowcy i krośnieńscy milicjanci zabarykadowali się w swoich budynkach. Dopiero jak do miasta zostały ściągnięte posiłki wojskowe, UB zaczęło szaleć w całej okolicy.



Płk Kazimierz Paulo ps. „Skała” (fot. Wojciech Pasterkiewicz)

Po 2-3 dniach od tego wydarzenia on sam został zobligowany do stawienia się przed szefem UB w Krośnie, którym był wtedy Leon Fiałkowski. Musiał wyjaśniać, z jakich to powodów posterunek, którym on dowodził nie został rozbrojony podczas gdy wokoło rozbrojono prawie wszystkie. Pytano go również o uzbrojoną grupę, która przechodziła przez Węglówkę i dlaczego załoga opuściła posterunek. Jak wspominał pan Kazimierz, jedyne co mu wtedy pozostawało to pokrętne tłumaczenie się. Wyjaśniał, że początkowo wzięto ich za czerwonoarmistów ponieważ byli oni opatuleni przed zimnem w kufajki i płaszcze wojskowe, u części z nich zauważono rosyjską broń. A nie chciał zwady ponieważ już nieraz były już z nimi kłopoty. Dopiero jak uzyskał od zaufanej osoby informacje z kim może mieć do czynienia wycofał załogę z posterunku, aby nie dać się rozbroić tak, jak to stało się w przypadku tych okolicznych posterunków.

Po tym tłumaczeniu, dano mu chwilowo spokój. Wrócił na posterunek w Węglówce, ale zdawał sobie sprawę, że dla niego, na tym to się nie skończy.

Dlatego też, po kilku dniach wraz z piątką milicjantów opuścił posterunek w Węglówce (z jego załogi pozostało tylko dwóch, już starszych wiekiem kolegów). Grupka obładowana bronią i amunicją udała się wozem konnym na dworzec kolejowy Krosno-Polanka i stąd pociągiem wyruszyli na Podhale, do Józefa Kurasia „Ognia”.

Przy okazji zapytałem pana Kazimierza, czy w czasie swojej służby na Węglówce przypadkiem nie spotkał się z Hieronimem Dekutowskim „Zaporą”, który na początku drugiej połowy 1945 r. dokonał słynnego rajdu z Lubelszczyzny na Podkarpacie, a jeden z jego oddziałów dotarł, aż pod Duklę. Jego odpowiedź była zaskakująca: „owszem, spotkałem „Zaporę”, miałem nawet okazję z nim porozmawiać, ale nastąpiło to później, już u „Ognia”, kiedy pełniłem obowiązki dowódcy plutonu ochrony jego sztabu. „Zapora” przybył wtedy na Podhale i spotkał się z „Ogniem”, aby omówić zagadnienia związane ze współdziałaniem oddziałów, którymi obaj dowodzili”.

Po akcji na Korczynę oddział Żubryda wrócił na swoje pielesze i dopiero wtedy odbył się pogrzeb Mariana Bieganowskiego.

Dokumentują go kolejne zdjęcia z pakietu pani Danuty. Na jednym z nich widoczne było wnętrze kościoła z trumną spoczywającą na wysokim katafalku, którą stroiły wieńce i szarfy w tonacji polskich barw narodowych.



Trumna z ciałem Mariana Bieganowskiego, z prawej stoi Edmund Sawczyn (ze zbioru Danuty Antoniów)

Kto w niej spoczywa wyjaśniało następne z nich. Opatrzono go na odwrocie zapiskiem „Cały pogrzeb tego zabitego”, który stanowił jednoznaczne wskazanie na pogrzeb Mariana Bieganowskiego. To zdjęcie poniżej.



Pogrzeb Mariana Bieganowskiego (ze zbioru Danuty Antoniw)

Inne z tych zdjęć pozwalało na zidentyfikowanie miejsca pogrzebu. Przedstawiało ono orszak pogrzebowy przemieszczający się na tle rymanowskiego kościoła przy którym widoczne było drewniane rusztowanie (ustawiono je tam ponieważ trwała w tym czasie odbudowa świątyni ze zniszczeń wojennych). Zdjęcie poniżej.



Czoło orszaku pogrzebowego, trumnę niosą koledzy zabitego z oddziału Żubryda, za nimi żona poległego, w tyle za nią widoczny Edmund Sawczyn (ze zbioru Danuty Antoniw)

Wszystkie one stanowiły jednocześnie dowód na to, że sama uroczystość pogrzebowa była demonstracją władzy "Żubrydowców" w Rymanowie i okolicy. Można się tylko domyślać, że mogła być tak oficjalnie celebrowana tylko w sytuacji, gdy jej uczestnicy mieli zapewnioną zbroję i silną osłonę wydzielonej części ich oddziału. Brak na zdjęciach z pogrzebu partyzantów w rynsztunku bojowym pozwalał się domyślać, że fotograf miał zakaz robienia im takich zdjęć, co było przejawem respektowania i stosowania zasad konspiracji w oddziale Żubryda.

Pomimo tego mogły one być dla jego uczestników jeszcze przez długi czas bardzo niebezpieczne, czego domyślała się Michalina Sawczyn.

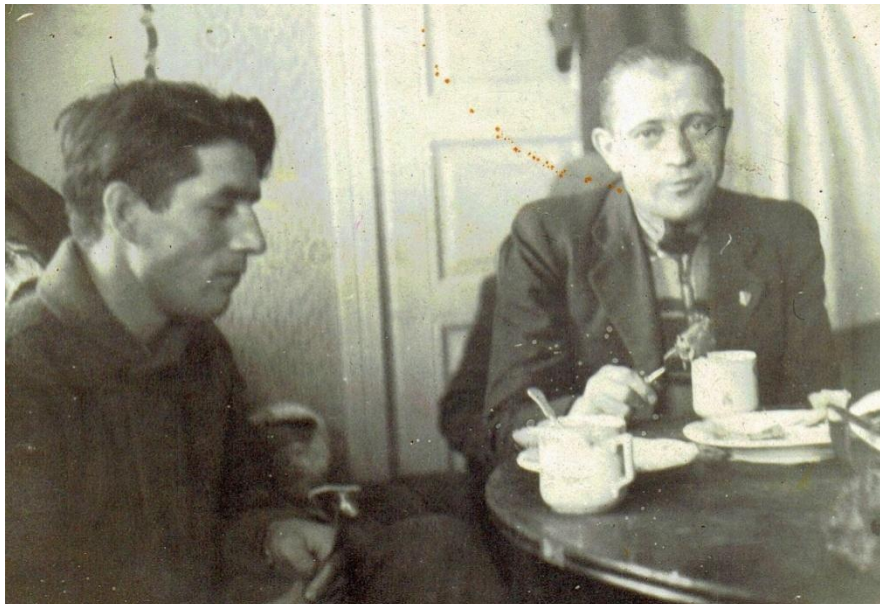
Kilka innych zdjęć w sposób szczególnie odzwierciedlało nastrój sfotografowanych młodych ludzi. Na ich twarzach malował się trudny do ukrycia smutek i zaduma. Byli przybici tym, co niedawno spotkało ich kolegę. Stan ich ducha wyraźnie kolidował z widoczną w głębi choinką, która była zwiastunem nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia.

Te zdjęcia musiały zostać zrobione w mieszkaniu któregoś z członków „grupy rymanowskiej” niedługo po akcji na stację w Rymanowie, w której zginął Marian Bieganski. Jedno z nich, poniżej.



Koleczy z „grupy rymanowskiej” oddziału Żubryda, od lewej, NN, Bolesław Kilar, Edmund Sawczyn, Adam Zmarz, stoi Augustyn Anczakowski (ze zbioru Danuty Antoni)

Na odwrocie innego ze zdjęć, które przedstawiało Edmunda Sawczyna w towarzystwie mężczyzny siedzącego razem z nim przy stole widniał podpis: „To jest ten „Krakus ...”, co pozwalało odgadnąć, że był nim Zbigniew Białas, który używał pseudonimu „Krakus” i również uczestniczył w akcji na stację kolejową Rymanów, to zdjęcie poniżej.



Z lewej Edmund Sawczyn, z prawej prawdopodobnie Zbigniew Białas (ze zbioru Danuty Antoniów)

Z początkiem 1946 r. nastąpiło chwilowe rozproszenie i wyciszenie działalności zbrojnej oddziału partyzanckiego Antoniego Żubryda.

Jego dowódca wraz z małżonką przebywał wtedy w Bytomiu, natomiast Edmund Sawczyn wyjechał na „ziemie zachodnie”. Do końca nie wiadomo w jakich okolicznościach został on aresztowany przez funkcjonariuszy PUBP w Krośnie Odrzańskim. Udało mu się jednak uciec z więzienia i powrócił na Podkarpacie.

Stanął ponownie na czele swojej II kompanii w czasie, gdy Urząd Bezpieczeństwa i Informacja Wojskowa uruchomiły znaczne siły, aby zlikwidować batalion Żubryda. Oddział znalazł się w krytycznym położeniu jednak dopiero wtedy, gdy w jego szeregi udało im się wprowadzić kilku agentów.

Jednego z nich „Żubrydowcy” nie zdołali w porę zidentyfikować. Był nim Jerzy Vaulin ps. „Mar”, „Warszawiak”, „Mewa”, „Moskit” i to on przyczynił się do śmierci Edmunda Sawczyna oraz własnoręcznie zamordował dowódcę batalionu mjr Antoniego Żubryda i jego ciężarną żonę Janinę.

O tym jak zginął ojciec Pani Danuta dowiedziała się dopiero z relacji Juliana Kilara, zamieszczonej w książce Marka A. Koprowskiego „Żołnierze Wyklęci. Wspomnienia i relacje. Tom 1”, ten fragment poniżej:

*„Mundek” Z oddziałem krążył po okolicy wykonując różne zadania, ale Urząd Bezpieczeństwa coraz bardziej zaciskał wokół niego pętlę. Dziś to wiemy i możemy to powiedzieć, że do oddziału „Mundka” został przez UB wprowadzony agent. Był to Jerzy Vaulin, warszawiak, uczestnik akcji tzw. małego sabotażu. w 1943 r. wysłano go na Podkarpacie jako żołnierza „Kedywu” czyli*

*Kierownictwa Dywersji. Brał udział w wielu akcjach, w których został ciężko ranny. Po wyzwoleniu wyjechał do Wrocławia, gdzie podjął studia na Politechnice. Aresztowany przez milicję został przekazany do UB. Tu go zwerbowano do współpracy i oddelegowano do Brzozowa. Latem 1946 r. przyjechał na Podkarpacie, gdzie odnowił kontakty z dawnymi znajomymi. Mam jego zdjęcie z „Mundkiem” i jeszcze jednym kolegą. Pamięta go doskonale. Miał za zadanie rozpracować oddział Żubryda i doprowadzić do jego likwidacji. Po akcji w Trześniowie i Iwoniczu grupa „Mundka” zakwaterowała się w Targowiskach, miejscowości leżącej niedaleko Wróblika Królewskiego. Grupa rozbiła się w Targowiskach na kilka części. „Mundek” z Edwardem Czekańskim, który pochodzi z Targowisk, zanocowali w domu Jana Bajgera. Grupa pościgowa KBW, UB i MO, która szła za grupą „Mundka” i poinformowana przez jakiegoś konfidenta otoczyła zabudowania, w których ukrywał się „Mundek”. Inni członkowie, śpiący w innych chałupach, nie zostali zamknięci w ścisłym pierścieniu obławy i nie tylko zdołali się wymknąć, ale usiłowali podjąć walkę, choć KBW zablokowało główne drogi prowadzące do wsi. „Mundek” z Czekańskim nie mieli szans. Czekański zdołał odskoczyć. Jak mi opowiadano, funkcjonariusze UB nie wzywali ich nawet do poddania. Od razu puścili serię pocisków zapalających w dach chałupy Bajgera, która była kryta słomą. Strzecha od razu się zapaliła i cała chałupa stanęła w płomieniach. Ubowcy liczyli, że jeżeli „Mundek” z Czekańskim nie będą chcieli upiec się żywcem, to z chałupy wyskoczą i w świetle płomieni będą doskonale widoczni. „Mundek” wyskoczył przez okno i w tym momencie słomiana strzecha, która płonęła jak zapalka, zawałiła się i przygniotła go. Czekański zdołał odskoczyć i ostrzeliwał się z erkaemu Diegtiariewa. Gdy wywalił cały magazynek nie chcąc dać się wziąć żywcem, jak mi opowiadano, strzelił sobie z pistoletu w głowę. Rano obu zabitych zawieziono na cmentarz w Targowiskach i wrzucono bez trumien do przygotowanego dołu za jego płotem i zakopano bez żadnych oznaczeń, kryjąc miejsce darniną. Młodsza siostra Czekańskiego, Stanisława, która z ukrycia w kukurydzy oglądała całe wydarzenie, po odjeździe UB, zaznaczyła to miejsce prymitywnym krzyżykiem i od tej chwili nim się opiekowała. Ci, którzy uciekli z Targowisk, wśród których byli m.in. Władysław Sęp, Kazimierz Paszek, Tadeusz Głowa, Zdzisław Ossoliński, Stanisław Kabala, Rudolf Poliniewicz, Zdzisław Sieńczak, Jan Gniady, Jerzy Vaulin i Tadeusz Wojtoń, poukrywali się w okolicznych miejscowościach, bezlitośnie tropieni przez władze bezpieczeństwa”.*

Przed spotkaniem w muzeum pani Danuta odwiedziła wraz z mężem (Sławomir Antoni w zmarł nagle w 2018 r.) cmentarz w Targowiskach.

Mogiła, w której spoczął jej ojciec razem z Edwardem Czekańskim ps. „Jaskółka” (rocznik 1924) nie zasługiwała zdaniem ubowców na cmentarne miejsce. Wraz z upływem czasu nastąpiło jednak powiększenie obszaru cmentarza i sama znalazła się po jego wewnętrznej stronie ogrodzenia.

Grób urządziła i nim się opiekowała przez całe swoje życie młodsza siostra poległego, Stanisława. Edward Czekański w chwili śmierci był kawalerem, nie miał dzieci. Miał trzy siostry, w chwili obecnej jego rodzeństwo już nie żyje.

Staraniem Juliana Kilara, podkomendnego jej ojca i autora przywołanych wspomnień umieszczono na nim tablicę nagrobną, z inskrypcją:

*„Żołnierze antykomunistycznego podziemia, osaczeni przez służby bezpieczeństwa PRL w dniu 20 września 1946 roku w Targowiskach polegli w walce o sprawiedliwą i suwerenną Polskę. Wiernym synom ojczyzny - Koledzy”.*



Zdjęcie grobu poniżej.



Grób Edmunda Sawczyna i Edwarda Czekańskiego na cmentarzu w Targowiskach (fot. Wojciech Pasterkiewicz)

W rozmowie z panią Danutą dało się odczuć ogromną wdzięczność jaką żywiła do tych osób, które przez te wszystkie lata opiekowały się grobem, w którym był pochowany również jej ojciec. Pozostały one już na zawsze bliskie jej sercu. Tylko dzięki nim mogła w tym miejscu złożyć kwiaty i objąć go swoją modlitwą. Jednak bardzo zależy jej na tym, aby potwierdzić miejsce jego pochówku. Dlatego też zwróciła się do Instytutu Pamięi Narodowej o ekshumację jego szczątków. Nie chce przenosić go na inny cmentarz, dla niej najważniejszym będzie samo potwierdzenie, że to on w nim spoczywa.

Wizyta pani Danuty Antoniw w Krośnie i ujawnienie nieznanych wcześniej faktów z życia jej ojca Edmunda Sawczyna „Mundka” nie była ostatnim wydarzeniem muzealnym wiążącym się z oddziałem Antoniego Żubryda.

W grudniu 2018 r. po wielu latach starań został mi przekazany przez osobę z rodziny ś. p. Jana Czernego z Krosna **ryngraf Żubryda**, który zasilił ekspozycję Prywatnego Muzeum Podkarpackich Pól Bitewnych.

Pana Jana Czernego, urodzonego 19.11.1922 r. w Białobrzegach, obecnej dzielnicy Krosna poznałem w latach 90. ubiegłego wieku. Znajomość zapoczątkowało przypadkowe spotkanie go

w Kolonii Olchowiec, w domu pana Stanisława Toropiły (już nie żyje). W czasie luźnej rozmowy szybko okazało się, że łączyła nas wspólna pasja, lotnictwo. Byłem związany z nim wtedy zawodowo, natomiast dla mojego rozmówcy było ono najpiękniejszym wspomnieniem młodości, które wyniósł z okresu nauki w Szkole Podoficerów Lotnictwa dla Małoletnich.

Szkoła ta rozpoczęła swoje funkcjonowanie w Krośnie w listopadzie 1938 r. W jej dyspozycji znajdowały się trzy lotniska, główne w Krośnie oraz dwa pomocnicze w Moderówce i Łężanach. Posiadała nowoczesną infrastrukturę i w tamtym czasie była jednym z największych i najbardziej nowoczesnych ośrodków wojskowego szkolenia lotniczego w Europie i na świecie.

Cieszyła się ogromnym zainteresowaniem polskiej męskiej młodzieży. Wyznacznikiem tego był nabór ogłoszony przez Centrum Wyszkożenia Lotnictwa nr 2. Na 300 miejsc zaoferowanych na pierwszym roku nauki zgłosiło się ponad 8000 chętnych. Jednym z tych, którym udało się przejść przez trzy poziomy sit egzaminacyjnych i zostać przyjętym do niej był Jan Czerny.

Jego edukację lotniczą szybko zakończył wybuch II wojny światowej. Uczniów I roku rozpuszczono do domów, natomiast jego starszych kolegów ewakuowano do Łucka na Wołyń. Stamtąd część z nich przez Rumunię i Francję dotarła do Wielkiej Brytanii. Trafili do polskich dywizjonów lotniczych, w samym tylko 300 dywizjonie bombowym służyło ich 28, zginęli wszyscy.

Pan Jan, pomimo swoich ponad 70 lat i lekkiego utykania na nogę zachowywał wojskowy styl i sylwetkę. Był dość wysoki, mierzył ponad 1,80 m. Dawało się wychwycić szereg jego charakterystycznych cech m. in. takich, jak spostrzegawczość i bystrość intelektualną oraz ograniczone zaufanie w kontaktach z innymi osobami.

Był on pierwszym i jedynym uczniem tej Szkoły, jakiego osobiście spotkałem i dlatego umówiłem się na dalsze wspomnienia. Tym sposobem trafiłem do jego domu w Krośnie.

Był wdowcem, mieszkał samotnie w swoim domu, w raczej skromnym mieszkaniu. Jego dorosłe dzieci miały pozakładały rodziny i każde z nich mieszkało już „na swoim”, w innym miejscu.

Okazało się, że nie tylko wspomnienia ze Szkoły Podoficerów Lotnictwa dla Małoletnich były interesujące, równie wciągające były te, które dotyczyły innych okresów jego życia. Szczególnie dużo dowiedziałem się od gospodarza, podczas kolejnej wizyty w jego domu, w czasie której, podobnie jak w Kolonii Olchowiec był ze mną mój obecny współnik muzealny Piotr Kiełtyka.

Pod koniec pierwszego tygodnia wojny, pod wpływem fali uciekinierów pan Jan wyruszył na wschód kraju. Po drodze widział koszar sabotażu ukraińskich nacjonalistów, poćcinane słupy telefoniczne, porozkręcane szyny kolejowe i ciała pomordowanych polskich żołnierzy. Dotarł, aż do Delatyna. W budynku KOP w Delatynie wziął udział w niszczeniu pozostawionych tam materiałów sztabowych. Przy okazji zachował dla siebie znalezione tam polskiego metalowego orzelka wojskowego oraz mapę topograficzną WIG, którą widziałem wtedy u niego w domu (była opatrzona tuszowym stemplem KOP Delatyn). Tam też spotkał młodego mężczyznę w cywilnym ubraniu, obaj rozpoznali się jako osoby z Krosna. Wyperswadował mu on dalszą tułaczkę, zasugerował powrót do domu i polecił powiadamiać w Krośnie spotkanych podoficerów i oficerów lotnictwa, aby wszyscy się udawali na Węgry lub Rumunię.

W Delatynie był świadkiem próby zatrzymania i rozbrojenia ostatnich polskich żołnierzy przez grupę Żydów z czerwonymi opaskami. W nim też doświadczył wkroczenia żołdatów Armii Czerwonej. Powrót do domu zajął mu wielokrotnie więcej czasu, szczególnie problem miał z przekroczeniem nowej sowiecko-niemieckiej granicy na Sanie.

Po drodze, w okolicach Nowego Zagórza mijają wojsko słowackie, które zajęło południowe tereny Rzeczypospolitej. Do Krosna wrócił pod koniec listopada 1939 r.

Na wiosnę 1940 r. trafił do „Baudienst”, tzw. „Junaków”. Był zmuszony do ciężkiej pracy fizycznej, m. in. pracował przy budowie dróg w Krośnie. W tym samym roku wstąpił do Związku Walki Zbrojnej, został zaprzysiężony w krośnieńskiej „Lniance” 8 marca 1940 r. (co ciekawe, III Rzesza uznawała Dzień Kobiet, Niemcy obchodzili go dość uroczystie i z tego powodu, w tym dniu mogło dojść do osłabienia dyscypliny w zakładzie)

Dzięki temu, że posiadał już „Prawo jazdy” (uzyskał je jeszcze przed przyjęciem do SPLdM w Krośnie) zmienił pracę, został przyjęty do warsztatów mechanicznych „Askania”. W 1941 r. jego firma podążyła na wschód za niemieckimi jednostkami frontowymi. W połowie lipca 1941 r. trafił, aż do Besarabii, do miasta Jassy koło Kiszyniowa, a stamtąd do Mikołajewa, na Ukrainie. Powrót do Krosna zawdzięczał swojemu niemieckiemu majstrowi, który dostał urlop i zabrał go ze sobą, jako chorego (symulował wtedy chorobę z wysoką gorączką i przeszedł badania lekarza wojskowego).

Po powrocie do Krosna, po raz drugi trafił do „Baudienst”. Znajomość języka niemieckiego oraz ukończony kurs spowodował, że został „forarbeisterem”. Pracował m. in. przy regulacji koryta rzeki Wisłok w Krośnie, na drogach w Miejscu Piastowym i w Iwoniczu.

W marcu 1942 r. trafił do Krakowa i pracował przy wypalaniu wapna w kamieniołomie wapiennym. Zetknął się tam m. in. z Karolem Wojtyłą, późniejszym Ojcem Świętym Janem Pawłem II. Z tego okresu, mój rozmówca posiadał dwa zdjęcia, na których w grupie robotników był widoczny również późniejszy papież.

Już w Krakowie ukończył kurs spawalniczy i trafił do pracy w kuźni.

Z Krakowem rozstał się po tym jak przyjechał do Krosna, aby wymienić polski dokument prawa jazdy na niemiecki. Przez jakiś czas nigdzie nie pracował, ale „wykonywał dla organizacji różne nie płatne zadania i bardzo ryzykowne”.

Poprzez swoich protegowanych zatrudnił się w warsztatach w Gliniku Mariampolskim koło Gorlic. Nie zagrzał tam jednak długo miejsca, ponieważ doszło tam z jego przyczyny „do wypadku jaki wydarzył się Ukraińcowi ze straży ochrony zakładu”. Z zakładu w Gliniku wysłano za nim kilka pism. Ostatnie z nich, wysłano poprzez niemiecką żandarmerię i jakimś zbiegiem okoliczności trafiło ono do Komendy Policji Granatowej. To go uratowało, stanął się przed jej komendantem, mjr. Kazimierzem Mięśowiczem, który pochodził z Korczyny i współpracował z kontrwywiadem Armii Krajowej.

Komendant zapewne już wcześniej zebrał o nim informacje i przedstawił mu propozycję nie do odrzucenia, wstąpienie do granatowej policji, które w jego przypadku miało być najlepszym wyjściem.

W kwietniu 1944 r. pan Jan został skierowany na posterunek granatowej policji do Korczyny, której komendantem był pan Franciszek Żołędź. Po tym, jak w maju 1944 r. rozbito posterunek ukraińskiej policji we Węglówce, posterunek w Korczynie został w całości przeniesiony do Węglówki. Pod koniec następnego miesiąca posterunek w Węglówce sam się zlikwidował. Pan Jan wrócił do rodzinnego domu w Białobrzegach i w nim doczekał się przejścia frontu. Na wiosnę 1945 r. rozpoczął pracę na kopalni ropy naftowej w Węglówce. Mieszkał na wzgórkach, pod lasem u

gajowego Nowackiego i pomimo tego, że mieszkało mu się dobrze, nie zagrzeżał długo tu miejsca. W marcu 1946 r. wyjechał na ziemie odzyskane, w opolskie. W październiku 1946 r. ożenił się.

Jego późniejsze życie zawodowe charakteryzowało się tym, że podejmował pracę w różnych miejscach i w różnych zawodach. Stawało się niemal regułą, że kończył ją dość szybko i podobnie. Personalny wręczał mu wypowiedzenie i uzasadniał to tym, że on osobiście do niego nic nie ma, ale dostał takie polecenie. Można się było domyślić, od kogo on je otrzymywał.

W 1953 r. pan Jan został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa i spędził blisko 6 miesięcy w więzieniu w Sanoku (był na krótko aresztowany również w 1945 r.). Został zwolniony z niego bez udowodnienia mu jakiegokolwiek winy.

Dotarło do mnie, że pan Jan zaczął mnie przychylniej traktować, gdy opowiedziałem mu o sobie i skąd pochodzę. Gdy wspominałem o rodzinie mojej babci Franciszki Krężełek (córce Antoniego Nawrockiego i Zofii Kołacz), o jej kuzynie Józefie Kołacz, bohaterskim softysie Łęk Dukielskich, współtwórcy znaczącego na Podkarpaciu zaplecza Armii Krajowej, w którym organizowano oddziały partyzanckie mój rozmówca tylko tajemniczo się uśmiechał, jakby dawał mi do zrozumienia, że on to już wszystko wie.

Może i dlatego pan Jan do pewnego stopnia „otworzył” się. Gospodarz pokazał nam metalowy ryngraf, który wisiał nad jego łóżkiem, na płóciennej makatce. Zdjął go i oznajmił, że jest to **ryngraf Żubryda**.



Ryngraf Żubryda ( awers i rewers) – odłamane, brakujące fragmenty skrzydła i wstęgi prawdopodobnie służyły do uwiarygodniania np. łącznika lub kuriera, na zasadzie hasło – odzew (innym, znanym sposobem było np. składanie połówek banknotu) (fot. Lesław Wilk)

Przedmiot ten od razu wzbudził moje duże zainteresowanie, co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, nigdy jeszcze podobnego ryngrafu nie widziałem. A po drugie, już wtedy interesowałem

się oddziałem Żubryda m. in. dlatego, że należał do niego kuzyn mojej babci, Jan Kołacz ps. „Wilk” z Łęk Dukielskich.

Na moim koledze Piotrze, który zawsze interesował się historią ryngraf ten nie wzbudził, aż takiej uwagi ponieważ prawie identyczny wisiał w pokoju jego brata, Grzegorza. Dostał go on od Henryka Lisa (już nie żyje) byłego żołnierza zgrupowania Józefa Kurasia „Ognia”.

Już po pewnym czasie dowiedziałem się od pana Kazimierza Paulo, że Henryk Lis podążył do „Ognia” w ślad za nim i razem z nim wrócił później do Węglówki, gdzie w tamtejszej kopalni był zatrudniony jego ojciec.

Pomimo moich licznych prób, pan Jan nie wyjawiał mi, w jakich okolicznościach wszedł w posiadanie ryngrafu i jakie były jego związki z Żubrydem. Nie dowiedziałem się też o żadnych szczegółach związanych z jego działalnością konspiracyjną, ani tą z czasów okupacji niemieckiej, ani późniejszą.

Dawał mi, aż nadto jasno do zrozumienia, że nie nadszedł jeszcze czas, aby o tym mógł mówić, że są ku temu jakieś poważne powody.

Obiecał natomiast, że kiedyś przekaże mi **ryngraf Żubryda**.

Moje rozliczne obowiązki zawodowe w głównej mierze spowodowały, że z czasem straciłem z nim kontakt. Jan Czerny zmarł 21.11. 2006 r.

Zachowałem go jednak na stałe w swojej pamięci, razem z jego wspomnieniami i ryngrafem Żubryda.

Ze źródeł archiwalnych IPN, akta o sygn. IPN BU 804/320 wynika, że we wrześniu 1945 r. Jan Czerny był aresztowany pod zarzutem posiadania broni. Równocześnie prowadzono przeciw niemu śledztwo dotyczące okresów służby na stanowisku przodownika w Służbie Budowlanej Baudienst oraz służby w granatowej policji. Wykazało ono, że w tych okresach pod względem moralnym i politycznym zachowywał się on poprawnie. W związku z tym Wojskowa Prokuratura Garnizonowa w Rzeszowie wydała 24.09.1945 r. postanowienie o umorzeniu dochodzenia w sprawie Jana Czernego.

Tak, jak wcześniej wzmiankowałem dwa miesiące temu, ku mojej wielkiej satysfakcji ryngraf ten wreszcie trafił do mnie. Został mi przekazany razem z polskim przedwojennym metalowym orzełkiem wojskowym, który był traktowany przez Jana Czernego z równym pietyzmem jak ryngraf Żubryda.

Z ryngrafem pojawiłem się u pana Kazimierza Paula. Z trudnością, ale przypomniał sobie, że podobny widział u swojego przyjaciela Antoniego Żubryda. Przypomniał sobie, że podobny ryngraf posiadał również jego przyjaciel Heniu Lis. Upływ czasu zrobił jednak swoje, mój rozmówca pamiętał bardziej o faktach, szczegóły zatarły się już w jego pamięci.

Ryngraf Żubryda przywołał w nim wspomnienia przyjaciół, a te z kolei emocje u mojego rozmówcy.

Na drodze odnowy moralno-intelektualnej Polaków ważne miejsce zajmuje obecnie odnajdywanie moglił naszych bohaterów narodowych zamordowanych przez zbrodniarzy niemieckich, ukraińskich, sowieckich oraz „utrwalaczy władzy ludowej” i ich godne upamiętnienie, czym kieruje prof. Krzysztof Szwagrzyk z IPN.

Również on zainteresował się ryngrafem Żubryda.

Na jego prośbę opowiedziałem mu w szczegółach o kontekście i kulisach jego pozyskania. Skomentował on to następująco: „dla mnie nie ma najmniejszej wątpliwości, że jest to ryngraf Żubryda”.



Postać żołnierza batalionu NSZ Antoniego Żubryda z ekspozycji Prywatnego Muzeum Podkarpackich Pól (fot. Lesław Wilk)

W ekspozycji muzealnej „Podkarpacie 1945” ten ryngraf i orzełek zdobią teraz postać partyzanta batalionu NSZ Antoniego Żubryda, ubranego w oryginalną kurtkę zimową, którą nosił na sobie Jan Gniady ps. „Garłuch” z Łęk Dukielskich, żołnierz II kompanii, którą dowodził Edmund Sawczyn ps. „Mundek”.

I jestem absolutnie przekonany, że jest to najwłaściwsze miejsce dla obu tych przedmiotów.

**Cześć i chwała bohaterom!!!**

Opracował: Lesław Wilk